

JANINA GRUDZIŃSKA

ur. 1927; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, Deutsches Haus, praca, partyzanci, Ogród Saski, ulica Lubomelska

Pracowałam w Deutsches Haus, a później w Ogrodzie Saskim i na Lubomelskiej

Gdy byłam jeszcze nieletnia, nie miałam 16 lat, starałam się już o pracę, Żeby nie pojechać do Niemiec, to mi znajoma załatwiła u księgowego i mnie zatrudnili w Deutsches Haus, oczywiście do kuchni, do zmywania naczyń, bo co innego mogłabym robić w tym wieku. Pewnego wieczoru był tam napad. Przyszli partyzanci i zaczęli strzelać do szwabów, a tam też była obsługa polska i kelnerzy Polacy, cała kuchnia to byli Polacy. Jeden z tych kelnerów wyskoczył z sali i mówi - „Uciekajmy bo strzelają partyzanci”. Strachu się najadłam, godzina jedenasta w nocy i trzeba było uciekać. W tym Deutsches Haus Polacy mieli swoją stołówkę, a Niemcy swoją. I do tej stołówki polski personel przychodził na obiady, śniadania i kolacje. Pamiętam taki moment - koleżanka stała przede mną, a ta która nas obsługiwała, to była ślązaczka i ona nabierała zupę, a na tej chochli w zupie była bardzo ładna kość i ona tą kość zabrała, ale później się zastanowiła i wyrzuciła ją. A ta dziewczyna, która widziała, że to miało iść do jej talerza, oburzyła się i zaczęła jej pyskować. A tamta napuściła dyrektorkę Niemkę na tą dziewczynę, na Gienie, że ona zaczęła pyskować jej przy wydawaniu tej zupy. Dyrektorka zadzwoniła po esesmańców, przyszło dwóch czy trzech z psami. A my całowałyśmy po rękach tą Szwabkę, żeby odwołała ich, bo przecież zginęła by dziewczyna, zabrali by ją. Ale ta Szwabka nie była złym człowiekiem, tylko ją napuścili tak. Ja z tą Szwabką pracowałam w Ogrodzie Saskim, bo ona tam miała taką sieć garmazeryjną. I ona była bardzo dobra, a jej mąż był w policji właśnie. My pracę kończyłyśmy o dziesiątej i miałyśmy przepustki nocne. I był taki moment, tam w nocy, że dziewczyny kradły chleb. Między nogami kładły sobie bochenek chleba i wносиły go, bo to głód był wtedy. I kiedy się przechodziło przez bramę, to jedne stały z jednej strony bramy w środku tam, w podwórku, a kilka nas stało na zewnątrz, na chodniku. A tam jakiś wartownik chodził z latarką i piorun przyszedł aż pod tą naszą bramę. Wystraszyłyśmy się strasznie, on przybliżył się a my się modlimy żeby tylko nie doszedł i nie zobaczył, że ona nam ten chleb przez

dziurę w bramie podrzuca, żebyśmy go schowały. I nie wiem czy oślepl czy nie zauważył, czy udał że nie widzi, i jakoś my szczęśliwie ten chleb przemyciliśmy na tą naszą stronę. Ale ile to było strachu, my byłyśmy sztywne ze strachu, sztywne! Nie mogłyśmy kroku dać, bo tuż tuż był, może pięć metrów od nas, a poszłybyśmy na Majdanek jak nic. Było dużo takich sytuacji, takich drobiazgów, które człowiek pozapominał, bo to już tyle lat. Pracowałam też w Ogrodzie Saskim. Tam była taka drewniana chatka w stylu góralskim, nie pamiętam czy ona już tam była czy ją Niemcy postawili. I tam jak pracowałam naszą kierowniczką była taka miła, sympatyczna starsza pani. Ja tam pomagałam filiżanki myć, kawę nalewałam, bo tam była maszynka do kawy. Była też taka cukierenka tylko dla Niemców i tam było takie firmowe danie – serdelki na gorąco i sałatka jarzynowa z majonezem. Niemcy przeważnie jedli sałatkę i myśmy się od Niemek nauczyły, bo przecież w Polsce się tego nie robiło. Mąż kierowniczkii zawsze fundował te kiełbaski nam Polakom, a to było też wszystko na kartki, bo oni też mieli jakieś takie kartki żywnościowe. Razem ze mną tam pracowało cztery osoby. I pamiętam raz zrobili przyjęcie dla wikingów. Wikingowie to byli tacy bohaterowie, którzy byli wybrani spośród wojska, wyróżnili się w jakiejś służbie wojskowej. Przeważnie to byli lotnicy z asystentkami. Asystentki to były takie dziewczyny, które latały z nimi na samolotach czy tam pisały, piorun wie co one tam z nimi robiły. Ale przystojni byli ci lotnicy, no i te baby z nimi w mundurach wojskowych. Było tak jak wszędzie na przyjęciach, była orkiestra, kolacja i tańce. Wszyscy wystrojeni, dystyngowani, a tu nalot samolotów wieczorem. Nie bombardowali, ale przelatywały rosyjskie samoloty nad Lublinem i dalej gdzieś leciały. Wystraszyły ich tak wtedy te samoloty, że rozleciało się to wszystko, każdy się pochował. I my uciekliśmy z tego domku, bo myślę sobie, że jak bzyknie tu jakaś bomba to z nas tylko proch zostanie. Później zatrudniłam się w wytwórni farmaceutycznej na Lubomelskiej i tam już cały czas pracowałam, tylko różne etaty były. Byłam w kontroli jakości, byłam laborantką. Zmieniałam swoje czynności, ale nie wychodziłam z tej firmy. Jak ta chemia weszła to już było dla zdrowia szkodliwe. Przez tą wydzielinę, ten opar z chemii dostałam uczulenia, takiego liszaja na skórze, no ale trzeba było coś robić. Później przeszłam do kontroli jakości, to już tam tylko przeglądałam flakony. Teraz to w ogóle jest inna produkcja, przedtem były ampułki, zestawy do przetaczania i pobierania krwi, były płyny infuzyjne, te które w kroplówkach podajemy chorym, tam nawet te butelki się robiło. Była maszyna, która tworzyła butelki później butelka była napełniona płynem i od razu zaklejona, już tylko później szła do przeglądania i do opakowania.

Data i miejsce nagrania	2010-03-29, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Lasota
Redakcja	Piotr Lasota, Karolina Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"